



2

Marzyłem o posiadaniu dłoni przez prawie trzydzieści lat. Od czasu do czasu wyobrażałem sobie, jak trzydam w palcach jakiś przedmiot. Jabłko, książkę, parasolkę. Słyszałem wspaniałe historie na temat parasolek oraz deszczu zraszającego skórę. Ludzie nie doceniali takich rzeczy (stanie na ulicy pod parasolką w trakcie letniej ulewy), ale ja obiecałem sobie całe wieki temu, że będę to wszystko traktował jako cud.

Byłem tak niesamowicie podekscytowany, gdy wyruszyłem w podróż na promieniu światła.

Ta wyprawa na Ziemię miała polegać na odkrywaniu, na ujrzaniu innego sposobu życia.

A ja byłem na to gotowy.

W przeddzień trzechsetnych urodzin każdy członek naszego gatunku dostaje szansę, by spędzić miesiąc pod postacią ziemskiego stworzenia. Robimy to, aby poszerzyć nasz światopogląd, zebrać dane, a przy okazji mieć sąsiadów na oku. Mogłem zostać

pingwinem na Antarktydzie albo drapieżnikiem wędrującym po równinach Serengeti; mogłem się wcielić w białuchę albo wilka, albo gęś. Ale zamiast tego wybrałem najwspanialszą istotę na Ziemi: zwykłego człowieka.

Być może uznacie moją decyzję za śmiechu warta. Odczuwam potrzebę, aby bronić tego wyboru. Więc proszę, pomyślcie o pingwinach, które odmawiają gry na skrzypcach. O wilkach, którym niepotrzebne są parasolki. A gęsi nie czerpią zbyt wiele radości ze sztuki. Ale ludzie? Ludzie piszą książki i dzielą się myślami przy kawie i robią rozmaite rzeczy zupełnie bez powodu. Baseny, dzwonki do drzwi, windy – umierałem z chęci odkrycia rozkoszy związanej z tym wszystkim.

Mimo to miałem przed sobą niezwykle trudny wybór. Bo istnieje tak wiele rodzajów ludzi. Czy chciałbym nosić szorty i dostarczać pocztę? Czy wyglądałbym dobrze w siatce na włosach? Czy mógłbym z powodzeniem wcielić się w gwiazdę telewizyjną? Po niemal pięćdziesięciu latach rozmyślań zdecydowałem się na coś skromniejszego. Bardziej odpowiedającego moim zainteresowaniom.

Postanowiłem zostać strażnikiem parku narodowego. A konkretnie – Parku Narodowego Yellowstone. Czyż to nie był idealny wybór? Miałbym bujne wąsy i ciężkie buty, i błysk w lewym oku. Już ćwiczylem w myślach, jak wyginam nadgarstek – bo wiecie, miałbym nadgarstki – wskazując dłonią

na atrakcje przyrodnicze. Przechadzałbym się na oczach tłumu ludzkich turystów, nieco przesadnie kołysząc biodrami, i nosiłbym w kieszeniach wiele pożytecznych przedmiotów: szwajcarski szczyrzyk, siatkę na motyle, mnóstwo długopisów. Poczucie humoru jest cechą cenioną wśród ludzi, więc przez cały rok skupiałem się wyłącznie na opracowywaniu żartów.

Ilu strażników parku narodowego potrzeba, aby wymienić żarówkę? Dwudziestu dwóch. Łapiecie? Dwudziestu dwóch! (Nie byłem do końca pewien, na czym polega dowcip; mój gatunek składa się z czystej energii i w stanie naturalnym nie potrafi odczuwać emocji. Ale czy nie było czegoś z natury zabawnego w kształcie cyfry dwa?)

Gdy opuściłem rodzinną planetę, wyobrażałem sobie, jakie to będzie uczucie, gdy brzuch zatrzęsie mi się od śmiechu. Skupiłem się na tym, bo dzięki temu łatwiej mogłem znieść to osobiwe doświadczenie. Mój gatunek posiada świadomość zbiorową, co oznacza, że wszyscy myślimy i istniejemy jako jedność, jak krople w ziemskim oceanie – i nie byłem przygotowany na uczucie, jakie towarzyszyło odłączeniu się od roju. Gdy się rozdzielił, rozległ się cichy trzask. A potem zostałem sam, po raz pierwszy od trzydziestu lat.

Szczerze mówiąc, nie byłem do końca pewien, co ze sobą zrobić. Widziałem oddalające się krystaliczne góry mojej planety i rzeki helu lśniące pod

gwiazdami i myślałam tylko o jednym: „Żegnajcie, tymczasem”.

Promień światła zaszumił, gdy do niego przywarłam.

Dla zabicia czasu w trakcie podróży dalej ćwiczyłam żarty. Dlaczego kurczak przeszedł przez ulicę? Bo jako ziemskie stworzenie był genetycznie uwarunkowany, aby to zrobić. Puk, puk. Kto tam? Nikt. Drzwi to ludzki wytwór i nie istnieją na innych planetach. (Ha!)

Nie jestem pewien, kiedy coś poszło nie tak.

Może wtedy, gdy zaczął mi wyrastać ogon.

Siedem tysięcy kilometrów nad powierzchnią ziemskiej atmosfery przeistoczyłem się w wykrzywioną istotę porośniętą kruczoczną sierścią. Nie miałem jak krzyknąć; w przeciwnym razie bym to zrobił. Ogon? To się nie zgadzało, no chyba że przegapiłem jakiś dramatycznie istotny fakt dotyczący ludzkiej anatomii. Rozejrzałem się gorączkowo i świadomość tego, co się stało, uderzyła mnie z okropną siłą: nie zmierzałam na Ziemię właściwą drogą. Byłem tak pochłonięty udoskonalaniem żartu, że zbyczyłem z kursu i po drodze wszedłem w interakcję z niewłaściwymi pierwiastkami. To te pierwiastki, wymieszane z ziemską atmosferą, zmieniły mnie w...

Kota.

Byłem kotem i pędziłem coraz szybciej i szybciej w stronę Ameryki Północnej. Wpadłem prosto

w koronę drzewa. Wbiłem pazury w gałąź i natychmiast obróciłem głowę, by spojrzeć na zygawkowaty ogon przytwierdzony do mojego grzbietu. Poruszał się niemal niezależnie ode mnie – jakby do mnie przemawiał. Poczułem, jak łapy mi się napinają, a wiatr szarpie przyciętym uchem.

Cóż to było za doznanie: czuć. Wreszcie odczuwałem. Miałem ciało, nawet jeśli nie to, którego się spodziewałem. A jednak serce mi zamarło, bo stulecia badań nie przygotowały mnie na tę sytuację. Pomijając kilka anegdot, nie wiedziałem o kotach prawie nic. Jak miałem przetrwać miesiąc w skórze jednego z nich?

A tak się cieszyłem, że wreszcie będę mógł mówić. Już znałem swoje ulubione słowa. Mandarynka: takie radosne, z łatwością opuszczające usta. Yellowstone: park będący domem dla bizonów i niedźwiedzi, lasów i kanionów. Dusza: pulsowanie w ciele. Teraz testowałem te wyrazy szorstkim językiem i okropnymi kłami sterczącymi z pyska, ale z mojego gardła wydostało się tylko bulgotanie.

To była całkowicie moja wina. Wiedziałem o tym. „Zachowaj skupienie” to pierwsza zasada podróży kosmicznych. Ale sytuacja nie stała się przez to mniej przerażająca. Wylądowałem na drzewie, na nowej planecie, bez znajomości języka kotów. Czy w ogóle istniał jakiś sposób, bym mógł komunikować się z ludźmi? Czy to koty „muczały”, czy raczej ptaki? No i przeżywałem tyle nowych doznań, czułem rzeczy,

których nie spodziewałem się poczuć. Nagła chęć, by skoczyć z gałęzi na gałąź i przetestować poczucie równowagi. Sposób, w jaki moje uszy się obracały, by nasłuchiwać innych kotów w okolicy. Świadomość, że gdybym zobaczył teraz parasolkę (otwierający się baldachim, skaczące sprężyny), mógłbym się jej przestraszyć.

Nagle drzewo zaczęło się chwiać w podmuchach wiatru, a ja instynktownie wygiąłem grzbiet w łuk. „Mam grzbiet!”, pomyślałem. Po części czułem ekscytację, a po części niepokój. Burza! Nadchodziła burza. Rozważałem, czy nie zeskoczyć na ziemię, ale wyglądała na rozmokłą, jakby miała zachlupotać mi pod łapami. Jako strażnik parku narodowego miałem nosić solidne, ciężkie buty. Przysiągłem sobie, że później takich poszukam, w rozmiarze odpowiednim dla kota. Najlepiej, żeby były skórzane. Zładnymi sznurowadłami i...

Och! Zapachy zaczęły do mnie docierać ze wszystkich stron: gorzkie i słodkie. Zaciągnąłem się powietrzem i zacząłem się rozglądać. Chmury przybrały alarmujący odcień śliwki. Widziałem tylko niebo, krzaki i wysokie trawy kładące się gwałtownie na wietrze.

Mój ogon nastroszył się ze strachu. To zdumiało mnie jeszcze bardziej. Nie wiedziałem, że ogony potrafią tak robić. Zupełnie jakby pytał: „Gdzie my jesteśmy? Co się dzieje?”.

W ciągu kwadransa zaczął padać deszcz i nie chciał przestać. Strzepywanie wody z uszu niewiele

pomagało; burza atakowała bokiem, przybliżając mi siersć do ciała. Czy koty potrafią pływać? Zadałem to nagłe pytanie ogonowi, ale zignorował mnie, kryjąc się za krzywizną moich łap. Coś mi mówiło, że odpowiedź i tak by mi się nie spodobała.

Poziom ciemnej wody zbierającej się wokół podstawy drzewa wciąż się podnosił.

I podnosił.

I...

To wtedy zobaczyłem ją z oddali. Małą plamkę łodzi wiosłowej zmierzającej w moją stronę. Sunęła w ogłuszającym deszczu, zbliżając się coraz bardziej, sterowana przez małą postać w ogrodniczkach, żółtym nieprzemakalnym płaszczu i kaloszach, które wyglądały na o trzy rozmiary za duże. Łódka zmagą się z falami powodzi, podczas gdy postać krzyknęła do mnie coś, co zabrzmiało jak: „ZARAZ CIĘ UGOTUJE!”.

Czy aby się nie przesłyszałem? Wedle mojej wiedzy ludzie nie jadają kotów, ale być może ten fakt umknął wcześniej mojej uwadze. Ta myśl zdecydowanie mnie zaniepokoiła, chociaż jeszcze bardziej niepokojący był wiatr, który przybierał na prędkości. Wyobraźcie sobie, że lądujcie na nowej planecie i po raz pierwszy doświadczacie grawitacji. A teraz wyobraźcie sobie huraganowy wiatr, który lada chwila może was porwać w niebo. Utrzymanie równowagi na tej gałęzi graniczyło z cudem, odzyskałem ją w samą porę. Zaledwie kilka sekund później dziób

łodzi uderzył w pień drzewa. Wszystko się zatrzęsło. Kora pękła ze złowieszczym trzaskiem, a dziewczynka zadarła głowę, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

Pomimo niesprzyjających okoliczności starałem się rozkoszować tą chwilą. To było moje pierwsze spotkanie z człowiekiem i nie chciałem niczego zepsuć. Już dawno nauczyłem się powitania „jak się miewasz” – prostego, lecz eleganckiego – i wyrzuciłem je teraz z siebie w strumieniu żarliwych miauknięć. Nie mogło mi pójść gorzej. Zabrzmiałem jak młynek do rozdrabniania odpadków w zlewie. (Porozmawiamy o tych złowieszczych urządzeniach nieco później. I o mewach! Muszę wam opowiedzieć o mewach).

Ale dziewczynka i tak kazała mi zeskoczyć z gałęzi.
– Nie bój się! – zawołała, przekrzykując wiatr. – Jestem skautką, uratuję cię!

Cóż, przyznam, że poczułem ogromną ulgę. Ura-
tuje mnie, nie ugotuje! Niemniej wzdrygnąłem się na myśl o tym, że znalazłem się na łasce tak małej istoty ludzkiej. Mierzyła jakieś sto czterdzieści centymetrów i mogła mieć najwyżej jedenaście lat.

Ślizgałem się po gałęzi w rozterce. Zostać na drzewie, samotnie w środku burzy, czy skoczyć – używając łap, którym ledwie ufałem.

Zostać czy skoczyć.

Zostać czy skoczyć.

Zostać czy...

Gwałtowny podmuch wiatru zadecydował za mnie, z ogromnym trzaskiem łamiąc gałąź nad moją głową. Instynkt wziął górę i uskoczyłem, by uniknąć przykrego kontaktu.

Poczułem, jak spadam.

Zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie powinienem zostać na drzewie.

Bo źle oszacowałem odległość. Woda już zamykała się nade mną.



Carlie
S...
ak



Moje
kocie
życie

